



Mark Twain
**Przygody
Hucka**

Armoryka

Mark Twain
PRZYGODY HUCKA

Mark Twain

**PRZYGODY
HUCKA**

przełożyła Teresa Prażmowska

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Brunisława (Brunia) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Ilustracja na okładce: Huckleberry Finn, as depicted by Edward Winsor Kemble in the original
1884 edition of the book, (licencja *public domain*),

źródło: <http://en.wikipedia.org/wiki/File:Huckleberry-finn-with-rabbit.jpg>

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-014-7

Tom I.

ROZDZIAŁ I.

Cywilizowanie Hucka. Mojżesz w trzcinach. Miss Watson. Tomek Sawyer czeka na mnie.

Muszę państwu powiedzieć, że ja i Tomek Sawyer, mój przyjaciel, znaleźliśmy pieniądze, które rabusie ukryli byli w jaskini, i to nas zubożyło. Dostaliśmy każdy po sześć tysięcy dolarów, samym złotem. Otóż sędzia Thatcher wziął je i oddał na procent, co nam przynosiło każdemu po dolarze dziennie, przez rok cały. Wdowa Douglas wzięła mnie do siebie za syna i obiecała, że mnie ucywilizuje; ciężko jednak było wytrwać w tym domu, tak okropnie porządną i przyzwoitą była wdowa i wszystkie jej postęпки. To też ile razy nie mogłem wytrzymać, wymykałem się, włożywszy na siebie stare łachmany i kapelusz od głowy cukru; czułem się całkiem swobodny. Tomek Sawyer zawsze mi obiecywał, że zebrawszy bandę rozbójników i stanąwszy na jej czele, przyłączy mnie

do niej, bylebym tylko pozostał u wdowy i porządne wiódł życie. Wracalem też do niej.

Wdowa płakała nade mną, nazywając mnie biedną owieczką zbłąkaną i różne inne dając mi przezwiska, którymi zresztą nie chciała mnie krzywdzić. Sprawila mi też nowe ubranie, w którym się strasznie pocilem, bo było ciasne. Gdy wdowa zadzwoniła na wieczerzę, trzeba było zaraz przychodzić i czekać, aż ona, spuściwszy głowę, pomruczy trochę nad jedzeniem, które, prawdę rzekłszy, było niczego sobie.

Po wieczerzy wdowa wydobywała księgę i uczyła mnie o Mojżeszcu i o trzcinach. Aż poty na mnie bity, tak pragnąłem dowiedzieć się wszystkiego o Mojżeszcu, ale gdy się pokazało, że on już od dawna nie żyje, przestałem dbać o niego, bo co mnie tam obchodzą umarli.

Dość wczesnie uczuwszy pociąg do tytoniu, prosiłem wdowę, żeby mi palić pozwoliła; otrzymałem jednak odpowiedź, że to brzydki nałóg, że z tego w domu nieporządek, że więc palić nie powinienem. Są widać osoby przyzwyczajone do powstawania na to, o czym nie mają pojęcia. Wdowa zawracała mi głowę Mojżeszem, który jej ani brat, ani swat, i nikogo nie obchodzi skoro już umarł i bronila mi palić, a sama zażywała tabakę, uważając to, ma się rozumieć, za dobre — ponieważ to ona robiła.

Siostra jej, miss Watson, przychuda nieco stara panna, z puklami w obwarzanek zwiniętymi na skroni, zamieszkawszy z nią, gnębiła mnie elementarzem, znęcając się nade mną co dzień przez pół godziny. Nie mógłbym wytrzymać dłużej! Potem z dobrą godzinę bywało śmiertelnie nudno, więc też zacząłem się kręcić. Wtedy miss Watson mawiała:

„— Huckleberry, po co kładziesz tu nogi?” — albo: „— Nie garb się tak, siedź prosto.”

W parę minut znów zrzędziła:

„— Nie otwieraj ust, nie przeciągaj się tak; dlaczego nie siedzisz przyzwoicie” — i opowiadała mi o tym miejscu, gdzie dusze idą za karę. Gdy rzekłem, że chciałbym się tam dostać,

aż oniemiała ze zgrozy, choć nie miałem zamiaru powiedzieć nic złego. Po prostu pilno mi było pójść sobie gdzie indziej, pragnąłem zmiany, nie będąc wcale wybredny w wyborze miejsca. Miss Watson twierdziła, że to grzech tak mówić i że ona za nic w świecie nie powiedziałałaby tego, albowiem pragnie się dostać do miejsca wiecznej szczęśliwości. Nie widząc żadnej dla siebie korzyści w przebywaniu gdziekolwiek z nią razem, postanowiłem nie starać się o to. Tego jednak nie powiedziałem, bo byłaby nowa historia, a pożytku żadnego.

Górnę tedy wzięwszy nade mną, poczęła opowiadać wszystko, co tylko jej było wiadomo o miejscu onej szczęśliwości. Mówiła, że człowiek, nic tam nie robiąc, będzie tylko siedział z harfą i śpiewał. Jakoś mi się to nie zdawało, alem nie pisał ani słówka. Spytałem tylko, czy Tomek Sawyer tam pójdzie? A ona: „— Nie! daleko mu do tego!” Bardzom się tedy ucieszył, chciałem bowiem, żebyśmy zawsze byli razem.

Ale miss Watson ciągle cierpiała coś do mnie, aż mi się to w końcu uprzykrzyło. Niezadługo potem zaczęła sprowadzać wszystkich Murzynów na pacierz, a po pacierzu iść musiał każdy do łóżka. Ja więc poszedłem do swego pokoju z kawałkiem świecy, a postawiwszy ją na stole, sam siadłem na krześle przy oknie i próbowałem myśleć o czymś wesołym, ale na próżno. Czulem się taki sam i taki smutny, żem prawie śmierci już pragnął. Gwiazdy świeciły na niebie, w pobliskim lesie posepnie jakoś szumiały liście; w oddali odzywała się sowa, zawodząc po kimś, kto już umarł; przy domu pies i puszczyk, wzajemnie sobie wtórując, zapowiadały śmierć komuś; wiatr usiłował coś mi powiedzieć, coś do ucha szepnąć, a ja nie mogłem zrozumieć, o co idzie i aż mnie dreszcze przejęły. Zapragnąłem jakiegoś towarzystwa. Aż oto pająk zaczął mi leżeć po ramieniu. Strąciłem go tak silnie, że wpadł w płomień; zanim zdążyłem dobiec do stołu, już był nieżywy. Nie wątpiłem, że to zły znak i że śmierć pająka pewno mi smutek przyniesie, toteż przestraszony, zacząłem z siebie zrywać ubranie. Po trzech obrotach w kółko, przy żegnaniu się za każdym razem,

wziąłem kosmyk swych włosów i szczelnie obwiązałem go nitką, aby oddalić od siebie czarownice, które urzec mnie mogły. Lecz to mi spokoju nie przywróciło. Drżąc ze strachu, wydobylem fajeczkę, aby się trochę zaciągnąć, pewny, że mnie teraz wdowa nie złapie. Siedząc tak, słyszę, że w pobliskim mieście zaczyna bić zegar. Bum! bum! bum! dwanaście razy uderzył — potem znów cisza. Wtem, na dole, pośród drzew, gałązka trzeszczy złamana... coś się tam rusza. Prawie tłumiąc oddech, słuchałem. Po chwili zaledwie dosłyszałem na dole: „— Mia—u! Mi—a—u—u!” Doskonale! Więc ja też: „— Mia—u! Mi—a—u—u!” jak najciszej... Zdmuchnąwszy świecę, wyszedłem przez okno na gzyms, biegnący wokoło domu. Stamtąd zsunąłem się na ziemię i podpełzłem pomiędzy drzewami w głąb ogrodu, gdzie, ma się rozumieć, czekał na mnie... Któż by inny, jak nie Tomek Sawyer!

ROZDZIAŁ II.

Chłopcy wymykają się Jimowi. Banda rozbójnicza. Plany głęboko obmyślane.

Szliśmy na palcach ścieżyną, która, wijąc się wśród drzew, wiodła na skraj ogrodu. Idąc, musieliśmy pochylać się, żeby gałęzie nie podrapały nam twarzy. Nagle w ciemności potknąłem się o korzeń tuż przy kuchni. Narobiwszy hałasu, musieliśmy przycupnąć do ziemi i leżeć cicho. Jim, ogromny Murzyn, należący do miss Watson, siedział w otwartych drzwiach kuchni, widzieliśmy go jak najwyraźniej, przed światłem. Usłyszawszy hałas, wstał, wyciągnął szyję i nasłuchiwał przez parę minut.

— Kto tam? — zapytał.

Znów nasłuchuje, a wreszcie wszedłszy do ogrodu, tak stanął między nami dwoma, że każdy z nas mógł być dotknąć go ręką. Jak na złość zaczęło mnie swędzić kolano, potem ucho, następnie plecy, pomiędzy samymi łopatkami. Zdawało mi

się, że umrę, jeżeli się nie podrapię. Już ja to nieraz zauważyłem, że gdy jesteś w przyzwoitym towarzystwie, albo na porzbie, albo leżeć musisz, nie mogąc spać w ogóle, wówczas, gdy ci się drapać nie wypada, to od razu w kilkunastu miejscach poczujesz swędzenie. Po chwili Jim się odzywa:

— Kto tam? Odezwiąj się. Czy tam jest kto? Bodaj pies zdeptał mego kota, jeżeli ja nie słyszał, że coś chodzi. Wiem, co zrobię. Będę tu siedział, póki znów czego nie usłyszę.

Usiadł więc na ziemi, pomiędzy mną i Tomkiem. Plecami oparł się o drzewo, a nogi wyciągnął przed siebie tak, że jedną prawie dotykał mojej. Poczułem swędzenie w nosie i to tak silne, że aż łzy mi stanęły w oczach, nie podrapałem się jednak, żeby nie zdradzić swej obecności. Małom ze skóry nie wyskoczył, tak mi dokuczają swędzenie w różnych miejscach. Trwała ta męczarnia kilka minut, a wydała mi się bardzo długą. Gdy już czułem, że nie wytrzymam, Jim zaczął oddychać ciężko, a potem chrapał.

Wówczas pełzając po cichu na rękach i na kolanach, oddaliliśmy się od Jima coraz bardziej. Nagle Tomek szepnął mi, czyby nie można przywiązać Jima do drzewa, ot tak przez figle. Ja nie przystałem. Mógł narobić hałasu i zaraz by się wykryło, że mnie nie ma w domu. Za chwilę potem Tomek postanowił zabrać z kuchni parę świec. Jakoż udało nam się zdobyć trzy świece, za które położył na stole pięć centów. Pomimo, że na mnie aż poty były z niecierpliwości, Tomek popęzł na czworakach do Jima, aby mu spłatać jakiegoś figla. Skoro powrócił, dowiedziałem się, że zdjąwszy Jimowi kapełusz z głowy, zawiesił go na dość wysokiej gałęzi. Później Murzyn opowiadał, że czarownice urzekły go i pozbawiwszy przytomności, jeździły na nim wierzchem po okolicy. Pięćcentówkę zaś nosił zawsze na szyi, zawieszoną na sznureczku, mówiąc, że to dany mu przez diabła talizman na każdą chorobę i na sprowadzanie czarownic do usług. Schodzili się zewsząd Murzyni i dawali Jimowi co kto miał, aby tylko poka-

zał im tę monetę, ale żaden nie chciał jej dotknąć dlatego, że była w diabelskim ręku. Jako służący stał się Jim do niczego, tak zhardział od chwili, gdy diabła widział na własne oczy i czarownicom służył za wierzchowca.

Spotkawszy Jo Harpera, Bena Rogersa i kilku innych chłopców, ukrytych w sadzie zapuszczonym, popłynęliśmy z nimi łódką ku wąwózowi, odległemu na jakie półtrzeci mili. Tu, w krzakach, Tomek, odebrawszy od nas przysięgę, że dochowamy tajemnicę, pokazał nam rozpadlinę, wiodącą w głąb wzgórza, a ukrytą w zaroślach najgęstszych; zapaliwszy świecę, wczółgaliśmy się wewnątrz na czworakach do obszernej jaskini, Tomek zaś, będący na przedzie, wrócił się popod ścianę i znikł niebawem w otworze tak ukrytym, że nikt by go się nie był domyślił. Poszliśmy wszyscy jego śladem, a po przejściu przez wąziutki korytarzyk, znaleźliśmy się w małym niby pokoiku, wilgotnym i zimnym. Tomek powiada:

— No! teraz utworzymy bandę rozbójników i nazwiemy ją bandą Tomka Sawyer. Każdy, kto chce do niej należeć, niech złoży przysięgę i krwią podpisze swoje nazwisko.

Zgoda była ogólna i ochocza.

Tomek wydostał więc arkusz papieru, na którym poprzednio napisał był przysięgę i przeczytał ją głośno. Każdy, z chcących, należeć do bandy, zobowiązywał się, że święcie dochowa wszystkie tajemnice.

Gdyby który z członków bandy zdradził jej tajemnicę, czekała go za to kara ścięcia, po czym trup jego miał być spalony, popioły na wiatr rzucone, imię jego krwią wykreślone ze spisu członków. Pozostałym wzbierało się wymawiać imię zdrajcy, które miało być uroczyście przeklęte, a potem na wieki zapomniane.

Wszyscy uznali jednomyślnie, że rota przysięgi jest przesłiczna i każdy zapytywał Tomka, czy ją sam ułożył. Tomek odpowiadał każdemu, że trochę sam, a resztę wziął z książek o rozbójnikach morskich i opryszkach.

Niektórzy odezwali się z tem, że należałoby zabijać rodziny zdrajców, którzy wydali tajemnicę stowarzyszenia. Tomkowi podobał się ten pomysł: wziął więc ołówek i dodał kilka słów w tym sensie.

Na to odzywa się Ben Rogers:

— No, a Huck Finn? On nie ma nikogo z rodziny. Cóż z nim będzie?

— Ma przecie ojca — odpowiada Tomek.

— Tak, ma ojca, ale nikt teraz nie wie, gdzie się ten ojciec podziewa. Dawniej widywano go po chlewach, gdzie spał pijany razem z wieprzami, ale od roku przeszło nikt go nie spotkał w tych stronach.

Zaczęli rozprawiać o tym i o mały włos nie wyrzucili mnie z pomiędzy siebie, mówili bowiem, że każdy z nas musi mieć rodzinę, lub kogoś, przeznaczonego do zabicia, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby wśród nas sprawiedliwości. Nikt nie wiedział, co na to poradzić, milczeli więc wszyscy, zakłopotani. Ja gotów byłem płakać, ale naraz przyszła mi myśl szczęśliwa do głowy:

— Oddam wam miss Watson! — krzyknąłem.

Na co oni, jak jeden, zawołali.

— Prawda! prawda! Można zabić miss Watson! Wszystko w porządku! Przyjmujemy miss Watson! Może Huck do nas należeć.

Po czym każdy szpilką ukłuwszy się w palec, wycisnął kropelkę krwi i nią podpisał swoje nazwisko, kto zaś pisać nie umiał, ten znak swój własnoręcznie położył na papierze.

— A teraz — zaczął Ben Rogers — naradzić się trzeba, jaka będzie działalność stowarzyszenia.

— Żadna inna, prócz grabieży i morderstw! — odparł Tomek.

— Ale kogo i co grabić mamy? Domy, bydło lub...

— Pleciesz! Kto zabiera bydło i tym podobne rzeczy, nie rozbójnikiem jest, lecz złodziejem — odpowiada Tomek. — My nie złodzieje, jeno rozbójnicy. W maskach na twarzy, za-

trzymując na gościńcach wozy z towarami, będziemy zabijali podróżnych, żeby im zabierać zegarki i pieniądze.

— Czy koniecznie zabijać trzeba?

— Koniecznie. Tak wypada. W niektórych książkach czytałem, że lepiej nie, ale w innych uważane to jest za konieczność. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, tych podróżnych, których się tu przyprowadzi do jaskini i trzymać będzie, dopóki nie złożą okupu.

— Okupu? Co to znaczy?

— Nie wiem dobrze... „Wziąć okup”. Tak stoi w książkach, naturalnie więc tak czynić trzeba.

— Ale jakże możemy tak czynić, skoro nie wiemy dobrze, co to jest?

— E! nie nudź. Musimy i koniec. Nie słyszysz, tak w książkach stoi!

— Więc chcesz być rozbójnikiem byle jakim i robić nie to, co potrzeba, lecz to, co ci przyjdzie do głowy?

— Dobrze ci mówić, Tomku, ale ja bym tylko chciał wiedzieć, co będzie, jeżeli i nasi jeńcy nie będą rozumieli, co to jest „okup?” Jak ty myślisz: co to znaczy?

— Nie... nie wiem... Może oni będą wiedzieli...

— A jeżeli nie będą, to co?

— Ha! to trzeba ich będzie trzymać w niewoli, dopóki nie pomrą.

— A! tak, to rozumiem. Tak, to dobrze. Czemużeś od razu tak nie mówił? Myślę tylko, że będzie z nimi dużo kłopotu, bo to im trzeba jeść dawać i pilnować, żeby nie puciekali.

— Co też ty pleciesz, Ben? Jakże mogą puciekać, spod straży, gotowej do zabicia ich, gdy palcem ruszą?

— Straż? A to mi się podoba! Więc musimy pilnować ich dnie i noce?

— Głupstwo! Dlaczego nie marny zabić ich od razu, zamiast czekać aż „wezmą okup” i umrą?

— Dlatego, że tak stoi w książkach. Powiedz mi zaraz, Ben, czy chcesz być prawdziwym rozbójnikiem, czy nie? Albo my-

ślisz może, że ci, co pisali książki, nie wiedzieli, jakim rozbójnik być powinien? Czy chcesz ich uczyć rozumu i myślisz, żeś ty od nich mędrszy? Nie... Prawda? A więc kiedy nie, to siedź cicho i postępuj według prawideł.

— Dobrze już, dobrze. Nie upieram się, tylko chciałem zrozumieć. A kobiety? Czy także mamy zabijać?

— Słuchaj, Ben, gdybym tak niczego nie rozumiał, jak ty, to już bym przynajmniej cicho siedział. Zabijać kobiety? W jakiejże książce powiedziano, że można zabijać kobiety? Nie! Przyprowadziwszy je do jaskini, będziesz dla nich słodki jak cukierek; zawsze skończy się na tym, że kobieta zakocha się w tobie i nie zechce wracać do domu.

— No, kiedy tak, to tak. Tylko widzisz, niezadługo tyle się w jaskini nazbiera kobiet i jeńców czekających na „okup”, że zabraknie miejsca dla rozbójników. No, ale niech i tak będzie.

Mały Tom Barnes rozespał się przez ten czas na dobre; gdy go zbudzono, przestraszył się i zaczął krzyczeć, że on chce iść do domu, do swej mamusi, a nie myśli już wcale być rozbójnikiem.

Inni, śmiejąc się z niego, przezywali go beksą, Tom więc rozżłoszczony, zagroził wydaniem wszystkich tajemnic. Tomek Sawyer dał mu tedy pięć centów, żeby milczał, nam zaś polecił rozejść się i wyznaczył schadzkę za tydzień.

Ben Rogers oświadczył, że będąc wolnym tylko w niedziele, w inne dni na rozbój chodzić nie może.

Ale wszyscy chłopcy oparli się temu, utrzymując, że grzech rabować w niedzielę jako w dzień Pański.

Po czym, obrawszy Tomka Sawyer dowódcą, a Jo Harpera jego namiestnikiem, rozeszliśmy się do domów.

Wróciłem przez okno do pokoju przed samym świtem. Nowe moje ubranie potłuszczone było i całe gliną zavalane, a ja okropnie zmęczony.

ROZDZIAŁ III.

Porządna tura. Dwie opatrności. Geniusze. Tomek Sawyer okłamuje mnie.

No, porządną też wziąłem burę nazajutrz rano od starej miss Watson za to, że tak powalał ubranie! Ale wdowa nie łajała mnie wcale, tylko wzięła się do czyszczenia i wywabiania plam, a tyle przy tym miała roboty, tak się zmęczyła, że postanowiłem być lepszym choć przez dni kilka. Właśnie wzięła mnie z sobą miss Watson do maleńkiego pokoiku i zaczęła modlić się ze mną, mówiąc, że o cokolwiek bym prosił, otrzymam. Prosiłem, modliłem się co dzień, co rano, ale nie. Nic nie otrzymałem! Próbowałem znów. Nic! Raz dostałem wędkę, ale bez haczyków. Wędka bez haczyków na nic. Prosiłem więc kilka razy o haczyki, ale nadaremnie. Po paru dniach spytałem miss Watson, czy ona nie mogłaby prosić za mnie, ale odpowiedziała, że jestem głupi, nie tłumacząc mi nawet, dlaczego.

Pewnego dnia długo nad tym w lesie rozmyślałem: Jeżeli każdy może otrzymać wszystko, o co prosi, dlaczego sąsiad nasz nie może odzyskać pieniędzy, które stracił na wieprzach? Dlaczego miss Watson nie może przytyć troszeczkę? Nie, to coś nie tak, jak mówi miss Watson. Idę tedy do wdowy i pytam jej, jak to jest naprawdę. A ona mi tłumaczy, że każdy otrzymać może to, o co prosi, ale że prosić należy jedynie o „dary duchowe”, nie zaś o nabytki doczesne. Za mądre to było dla mnie, ale mi zaraz wytłumaczyła:

„— Powinieneś dopomagać drugim, każdemu dobrze czynić, myśleć o szczęściu drugich, o swoim zaś najmniej. Starszych trzeba szanować i słuchać...”

No, to się już do miss Watson odnosi... z pewnością!

Znów poszedłem do lasu, żeby to sobie obrócić w głowie na wszystkie strony. Nie widząc jednak dla siebie żadnej korzyści w myśleniu ciągłym „o drugich”, postanowiłem dłużej się tym wcale nie frasować.

Czasami wdowa, wezwawszy mnie, tak opowiadała o Opatrzności, że mi się aż miękko na sercu robiło, ale już nazajutrz z nowych rozpraw miss Watson — o Opatrzności — wyciągałem wnioski wprost odwrotne. Przypuszczałem więc, że muszą być dwie Opatrzności: z Opatrznością wdowy byłoby biedakowi jak u Pana Boga za piecem, ale gdyby go złapała Opatrzność miss Watson, to już po nim! Wszystko to sobie obmyśliwszy, postanowiłem, w razie gdyby mnie przyjęła Opatrzność wdowy, pójść pod Jej rządy. Nie wiem tylko jaką by ona korzyść stąd miała, boć ja nieborak głupi i prosty, włóczęga biedny i nie więcej.

Taty nie widział nikt od roku przeszło i bardzo mi z tym było dobrze; nie miałem najmniejszej ochoty znów go zobaczyć. Miał brzydki zwyczaj bić mnie zawsze, nawet gdy był trzeźwy, to też spędzałem w lesie prawie cały czas bytności jego w okolicy. W tych dniach właśnie znaleziono go w rzece, o jakie dwanaście mil od miasta: utonął! Tak przynajmniej mówiono, gdyż topielec tego samego był wzrostu, tak samo

obdarty, takie same długie miał włosy — Tatko wykapany! Twarzy tylko rozpoznać nie mogli, bo tak długo leżała w wodzie, że już przestała być twarzą. Zwłoki, płynące na wznak, wydobyto i pogrzebano na brzegu. Ale ja ciągle byłem niespokojny, bo mi zawsze stało na myśli, com kiedyś słyszał: że mężczyzna gdy utonie, wypłynąć na wznak nie może, tylko zawsze twarzą do wody. — Pewien więc byłem, że to nie Tatko, lecz jakaś kobieta w stroju męskim.

Bawiliśmy się od czasu do czasu w rozbójników, z miesiąc może, a potem daliśmy pokój. Nikogośmy nie ograbili, ani zabili, tylko tak udawaliśmy, że napadamy. Czyniąc zasadzki w lesie, uderzaliśmy na ludzi pędzących wieprze do miasta, na kobiety wiozące na targ jarzyny, niewolników jednak nie braliśmy. Tomek Sawyer nazywał wieprze „jeńcami” a jarzyny „łupem”.

Pewnego dnia Tomek wyprawił jednego z naszych chłopców do miasta i kazał mu biegać po ulicach z zapalonym patykiem, t j. z „żagwią mordu”, na znak, że banda powinna się zebrać czym prędzej. Po zebraniu powiedział nam, że przez szpiegów swoich ważne otrzymał wiadomości. Nazajutrz stanąć miała obozem w jednej z dolin górskich karawana kupców hiszpańskich i Arabów bogatych, wiodąca z sobą dwieście słoni, sześćset wielbłądów i przeszło tysiąc mułów, objuzonych samymi brylantami; cała zaś straż karawany składała się z czterystu zaledwie żołnierzy. Otóż uczyniwszy zasadzkę, mieliśmy niespodzianie uderzyć na karawanę, rozbić ją i zabrać skarby. Kazał nam broń wyczyścić, opatrzyć i stać w wojennym pogotowiu. Nawet przy pogoniach za wózkiem z rzepą musieliśmy zawsze mieć broń wyczyszczoną, choć składała się ona tylko z kijów od mioteł i blaszanych szabelek, które trzec można było i szorować do siódmego potu, blacha zaś zawsze była blachą, tak jak kij kijem. Nie wierząc, żebyśmy mogli pobić taką moc Hiszpanów i Arabów, z ciekawości jedynie ujżenia wielbłądów i słoni, stawilem się nazajutrz, w sobotę, o wyznaczonej godzinie.

Z gęstych zarośli na komendę wodza zbiegliśmy pędem w dolinę. Nie było tam jednak Hiszpanów, ani Arabów, nie było wielbłądów, ani słoni, ale za to spotkaliśmy dzieciaków z niedzielnej szkółki, na majówce.

Napadliśmy na nie i rozpędzili, jedyną wszakże naszą zdobyczą były pierniczki i marmolada. Ben Rogers znalazł wprawdzie zwiniętą z gałganów lalkę, a Jo Harper książeczkę do nabożeństwa, lecz nauczyciel, zmusiwszy nas do oddania łupu, rozpędził bandę. Brylantów nie widziałem wcale i powiedziałem to Tomkowi, on jednak upierał się, że były ich tam całe fury; byli też i Arabowie, słonie i wszystko, co być miało. Na pytanie moje, dlaczego ja nic nie widziałem, nazywał mnie nieukiem, dodając, że gdybym znał „*Don Kichota*”, pytać bym nie potrzebował. Stało się to wszystko za sprawą czarów. Nieprzyjaźni nam czarnoksiężnicy przemienili wszystko w dzieciaków z niedzielnej szkółki, w pierniczki i w galaretę.

— Skoro tak — odpowiedziałem — to trzeba bić się z czarnoksiężnikami.

— Cóż ty sobie myślisz, głowo cielęca — odparł Tomek — czy to czarnoksiężnik nie ma całego wojska geniuszów, które cię rozsiekają na drobny mak, zanim policzysz do trzech? Każdy geniusz wysoki jak drzewo, a gruby jak kościół.

— A jeżeli kilku geniuszów stanie po naszej stronie, czy nie możemy zwyciężyć tamtych?

— Aha! A skądże weźmiesz geniuszów?

— Nie wiem. Skądże ich biorą czarnoksiężnicy?

— To co innego. Taki czarnoksiężnik potrzebie sobie pierścień albo starą lampę blaszaną i geniusze hurmem się cisną do niego... Pioruny biją, grzmot huczy, błyskawice po niebie latają, dym bucha kłęбами, a czarnoksiężnik geniuszom rozkazuje i co im powie, to one czynią. Dla nich to nic wyrwać wieżę z korzeniami i przerzucić ją sobie przez głowę razem z dyrektorem niedzielnej szkółki.

— Któż ich zmusi do wyrwania wieży?

— Każdy, kto potrze lampę albo pierścień. One są poddane każdemu, kto posiada lampę albo taki pierścień i muszą być posłuszne każdemu rozkazowi swego władcy. Jeżeli im powie: „ — Zbudujcie mi pałac na czterdzieści mil długi, cały z diamentów i napełnijcie go od dachu do piwnic cukierkami, porwijcie cesarzowi chińskiemu córkę dla mnie za żonę, one zrobić to muszą i to zaraz, nim słońce wstanie. Więcej ci powiem: muszą na twój rozkaz przenosić ten pałac z miejsca na miejsce i to prędko: raz, dwa, trzy, jak walca tańczył. Rozumiesz?

— Wiesz, co ja myślę? Głupie być muszą te geniusze, jeżeli tak szafują pałacami i cukierkami, zamiast je zatrzymać dla siebie! Niedoczekanie niczyje, żebym ja porzucił to, co robię, i pędził na rozkazy pierwszego lepszego, kto potrze starą lampę albo pierścień!

— Sam nie wiesz, co gadasz, Huck. A ja ci powiadam, że rad nie rad i ty byś przyjąć musiał.

— Ja? Gdybym był wysoki, jak to drzewo, a w sobie taki, jak nasz kościół?! No, dobrze, przyszedłbym, ale za to zmusiłbym tego człowieka do wdrapania się na drzewo najwyższe w całym lesie.

— Wiesz, Huck, z tobą gadać nie warto. O niczym nie masz pojęcia! Istna cielęca głowa!

Rozważając to wszystko przez dni kilka, postanowiłem wreszcie przekonać się, czy jest w tym cokolwiek prawdy. Wyszukawszy starą, blaszaną lampę i również stary pierścień żelazny, tarłem go w lesie aż do potu, licząc na to, że zbudowany przez geniusza pałac sprzedam za dobre pieniądze. Ale wszystko na nic! Nie przyszedł ani jeden geniusz. Doszedłem więc do wniosku, że cała gadanina była kłamstwem, przez Tomka wymyślonym. Może on zresztą i wierzył zarówno w Arabów, jak i w słonie, ale ja nie. To była po prostu szkółka niedzielna.

ROZDZIAŁ IV.

Powoli naprzód. Huck i sędzia. Zabobon.

Upłynęło kilka miesięcy i nadeszła zima. Prawie przez cały ten czas chodziłem do szkoły, umiałem już czytać „spell”¹, pisałem jako tako, umiałem na pamięć tabliczkę mnożenia aż do: „sześć razy siedem, trzydzieści pięć.” Zdaje mi się jednak, że gdybym żył nie wiem jak długo i przez całe życie chodził do szkoły, tobym nie potrafił nauczyć się jej do końca. Nie mam jakoś zapału do matematyki.

Z początku nie cierpiałem szkoły, ale powoli doszło do tego, że m znosił ją nieźle. Gdym był zanadto zmęczony nauką, szedłem zamiast do szkoły, na wagary, a nazajutrz brałem za to odpowiednie natarcie głowy, które mnie orzeźwiało

1 W języku angielskim zupełnie inaczej wymawia się, niż pisze. Skutkiem tego w szkołach początkowych wykłada się jako osobny przedmiot: „Spelling” – czyli literowanie. Podczas lekcji uczniowie głośno wymieniają głoski, składające znane już wyrazy, i tym sposobem zaznajamiają się z ich pisownią – przyp. tłum.